KAZIMIERA SKWIERCZYŃSKA
ur. 1921; Kijów

Tytuł fragmentu relacji	Komunikacja miejska w przedwojennych Puławach
Zakres terytorialny i czasowy	Puławy; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Puławy, komunikacja miejska, Żydzi w Puławach w dwudziestoleciu międzywojennym, dorożki, dorożkarze, zawody żydowskie, profesje, szkoła, autobusy, autobus, taksówka, taxi, samochody, pociągi, pociąg, rower

Komunikacja miejska w przedwojennych Puławach

Byli wozacy, którzy wozili mąkę do piekarni. Tu była piekarnia przecież kiedyś, taka słynna piekarnia na Puławy i okolice. To oni przywozili z młyna mąkę, to byli też Żydzi. Też się zatrudniali, mieli jakąś biedną taką szkapę. Więc było dużo dorożkarzy żydowskich. Byli i polscy, ale ich było niewielu, bo zawsze oni ogromną konkurencję stanowili. Jak Polak chciał za złotówkę, to on pojechał za 50 groszy. Ja ich dlatego dobrze pamiętam, bo już jak byliśmy w Dęblinie, a ja dojeżdżałam do gimnazjum, jeszcze stacji tutaj nie było, tej co teraz jest, tylko była wyłącznie stara stacja, więc [od] tej starej stacji było strasznie daleko do gimnazjum. Pociąg był tak jakoś ustawiony, że z Dęblina wyjeżdżaliśmy o siódmej, on tu przyjeżdżał na wpół do ósmej, a lekcje zaczynały się o ósmej. Piechotą człowiek nie zdążyłby. Te dorożki nie miały codziennie takiego popytu, to była jedyna okazja, jak tak uczniów nałapali. Więc nas zabierali ile wlazło na taką furmankę. Nie, to nie była furmanka, to była buda elegancka. Ile nas tam się zmieściło. I on za 5 groszy - każdego, każdy płacił 5 groszy - i za parę minut, no parę minut – nie, ale za 20 minut jeszcze zdążył na lekcje. Bo on podwoził do gimnazjum i tam wszystko się wysypywało, towarzystwo i szło do klasy. No, a kto albo nie miał pieniędzy, albo wolał się troszkę spóźnić, to szedł na piechotę, no i wchodził w połowie lekcji do klasy i przeważnie odpytunek już minął, i wtedy człowiek już się czuł swobodniejszy. Więc wtedy mieliśmy z tymi dorożkarzami dużo do czynienia. Jak kto miał parę groszy, to się pchał na chama, jak to się mówi, i jechało się tak wzdłuż i w poprzek, ile wlazło i dojeżdżaliśmy. Za 5 groszy. Także to się opłaciło. Bo normalnie oni brali 50 groszy ze stacji. Więc jak jemu wlazło tych dziesięciu, to wyszedł na swoje. Konie to były takie chabety, to nie były żadne rasowe konie, ale jechały. Jak jechały to jechały. Nieraz musiał je tam jeszcze batem troszkę powspomagać, bo taki ciężar nieraz trudno było udźwignąć. Był też nasz znajomy dorożkarz, co tam mieszkał koło nas. Choina. To był też taki, z dziada pradziada. No i chyba może jeszcze jeden czy dwóch. Wiem, że to był zawód żydowski przeważnie w owych czasach.

W sezonie przyjeżdżało do Puław dużo letników. I letnicy już jak przyjechali, to z manatkami, z dziećmi, to już brali przeważnie te dorożki. Dorożka była tańsza co prawda. Także ci Żydzi obsługiwali właśnie tutaj tą trasę komunikacyjną. Dorożką się jeździło do Kazimierza. Przecież

nie było żadnej komunikacji. Tylko były albo wozy takie wiejskie albo dorożka. Jak ktoś chciał elegancko jechać, to jechał dorożką. Z rynku nieraz zamożniejsze panie, jak nakupiły tych rozmaitych produktów, mieszkały na Działce, to brało się tę dorożkę i pakowało się tam te wszystkie wiktuały. Więc taka była komunikacja miejska. Różni panicze tacy, niebieskie ptaki, to brali też dorożkę i jechali z fantazją i z wielkim rwetesem do Kazimierza. No bo to Kazimierz był jednak odwiedzany. Także to mieli tutaj ten zarobek.

Żadnej komunikacji miejskiej w ogóle nie było przecież, autobusów nie było. Dopiero później, gdzieś po trzydziestym piątym roku chyba, autobusy się pokazały, ale też nie na wszystkich liniach. I był nawet jeden taksówkarz. Miał taksówkę. To była taksówka, która jeździła na stację z nadzieją, że kogoś tam zabierze. To był taki klekot troszkę, taki co to prycha. Ale jechał. Tylko pamiętam, że on miał numer 1. Ale nie znaliśmy go. Nie wiem, czy mu się później ta taksówka nie rozleciała gdzieś. Ona była bardzo, bardzo sfatygowana. Chyba że sobie później ją jakoś tam wymienił, jakieś części. No ale to był taki unikat w owych czasach. Nie było, komunikacja samochodowa to słabo u nas było. Jak raz na dzień przejechał samochód to dużo, jeszcze perkotał głośno, że go było słychać. No i pamiętam, że nam strasznie podobały się te spaliny, bo one nie były takie trujące jak teraz. I jak samochód przejechał i zostawił taką smugę dymu, to aaaaaa, wdychało się z zachwytem. Może ta benzyna była inna. Ona zupełnie miała inny zapach niż teraz, także nikt nie odwracał się i nosa nie zatykał przed samochodem. Ja nie słyszałam o kim [w Puławach], żeby miał własny samochód. Może w Instytucie. Tam byle kto nie miał dostępu. Na pewno tam mieli ci profesorowie. Tylko do parku nam wolno było łazić, ale tak po Instytucie to tam nikt nie miał odwagi się szwendać. Zresztą był stróż, który nie puszczał takich byle jakich turystów. Także ja nie pamiętam tutaj, żeby był jakiś samochód. Nieraz przez miasto raz na dzień jakiś samochód przejechał, taka taksówka, jak to się wtedy mówiło. Ale tutaj to był ten jeden i był przez nas rozrywany, bo tutaj od stacji przecież było bardzo daleko do miasta, na tą starą stację.

Ludzie tak też dużo nie podróżowali, Żydzi dużo jeździli pociągami z handlem. Wozili tam rozmaite sery, masła. Po lekcjach mieliśmy strasznie późno pociąg powrotny, ci dojeżdżający do Dęblina, nas tam było jakieś 60 osób dojeżdżało, to dopiero o piątej był pociąg po południu. Dojeżdżało się tam wpół do szóstej, a tam znowu 3 kilometry, także człowiek gdzieś koło wpół do siódmej zachodził do domu. No już później do niczego się nie nadawał, tylko zjeść kolację i położyć się spać, bo rano trzeba było wstawać. Także, to też były takie podróże na nogach własnych, bo tam już nie było żadnych ani dorożek, nic. Z Dęblina mieliśmy strasznie daleko tam do nas, strasznie - 3 kilometry. Ale rano 3 kilometry, tu 3 kilometry i z powrotem, a dzisiaj się martwią jak dziecko ma kilometr przejść. No, ale to już inne czasy. Drogi były bezpieczne wtedy. Myśmy jako ta młodzież dojeżdżająca tutaj, jak było mniej lekcji, to się jeździło rowerem z Dęblina, te 20 kilometrów. Wyjeżdżało się przed siódmą, na ósmą się tutaj dojeżdżało. Nigdy nikt na ulicy człowieka nie zaczepił, a jechało się kawał przez las. Od Wólki Gołębskiej przecież, to aż pod Puławy, pod ten nowy cmentarz, to był las. Nigdy – nikt. Nawet jak jakiś człowiek zaczepił, wtedy rowerów było niedużo, to ja pamiętam, że jak jechałam przez Wólkę Profecką to i starzy, gospodarz: "O! Dziewucha na rowerze jedzie!" To tam było curiosum wtedy. Bo jeszcze chłopcy, to jeszcze, ale jak dziewucha jechała na rowerze, to: "Pani, pani, koło się kręci" – o takie zaczepki były. Ale nikt nas nigdy, żeby rower ktoś zabrał, czy w ogóle zaczepił. Ludzie chodzili, chodzili tacy biedacy różni, chodzili z tłumoczkami na patyku, ale nie było tego, żeby była kradzież, żeby kogoś ktoś skrzywdził. Tego nie było. Przynajmniej ja wiem ze swojej praktyki. Często bywało w sobotę, było mniej lekcji, tośmy wyjeżdżali. Nieraz się trafiło, że jeszcze ktoś jechał, ale ja często sama jeździłam. No to ile miałam - 14, 15 lat. I nikt nas nie zaczepił. A tutaj jeszcze od Wólki Profeckiej, to się skręcało w las, dlatego, że to się ścinało całe

miasto i do gimnazjum. To najmniej jakieś półtora kilometra się oszczędzało na tym. To przecież jechało się dróżką leśną. Nikt nigdy nikogo nie zaczepił.

Data i miejsce nagrania	2003-04-23, Puławy
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"